

A young girl with short blonde hair, wearing a white sleeveless dress, is walking away from the camera on a wooden path. The path is surrounded by tall green grasses. In the background, there is a body of water and a bright sun setting, creating a hazy, golden atmosphere. The sky is filled with soft, warm light. The overall mood is serene and contemplative.

IWONA ŻYTKOWIAK ZAMKNIJ OCZY

Czasem trzeba zamknąć oczy,
by zobaczyć więcej

IWONA
ŻYTKOWIAK
ZAMKNIJ
OCZY



Copyright © 2026 by Iwona Żytkowiak

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Anna Płaskoń-Sokołowska

KOREKTA: Marta Grandke

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

ILUSTRACJE NA OKŁADCE: © Anastasiia K. @ Adobe stock, ©

vitakot @ Adobe stock, © andras_csontos @ Adobe stock, © Abbasy

Kautsar @ Adobe stock, © Layerform @ Adobe stock

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-741-4

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-742-1

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-743-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

cierpienie
też może być skrzydłem temu
kto nosi
w sobie ptaka
Romana Kaszczyca

Istnienie jest produkowaniem przeszłości.
Emil Cioran

Romo!
W czepku urodzona.
Tęczowa rybo ze snu Twojego ojca.
Królowo barlineckiej puszczy...
Mamy wobec siebie zobowiązania.

PROLOG

– Chcę napisać o tobie, Roma – powiedziałam. Zwyczajnie. Tak jakbym zamierzała oznajmić: chcę cię zaprosić na kawę, a nie jakbym informowała kogoś o tym, że oczekuję od niego spowiadania się ze swojego życia. Że liczę na odsłonięcie zasłoniętego, na rozdrapanie zablźnionego, na akt ekshibicjonizmu. – Nosisz w sobie tyle historii. Szkoda, żeby przepadły – dodałam.

W telefonie na chwilę zapadła cisza. Pomyślałam sobie, że straszna ze mnie idiotka. Nagle ni z gruszki, ni z pietruszki dzwonię do niej i proponuję, by stała się moją opowieścią. Chciałam przeprosić, rozłączyć się. Zrzucić ten nietakt na karb roztargnienia, głupiego podszeptu. Ale wtedy po drugiej stronie usłyszałam równy, choć dziwnie ciężki oddech. Milczałam, spodziewając się gorzkich wyrzutów. Byłam na nie gotowa.

Zaczęła z ociąganiem, jakby wciąż wazyła słowa. Jakby musiała zyskać pewność, że chce powiedzieć właśnie to:

– To fantastycznie. – A potem wyrzuciła z siebie jednym tchem: – Ja ci opowiem wszystko! Co tylko będziesz chciała. Możesz pytać. Odpowiem na każde twoje pytanie. – Jej głos drżał. Nie wiedziałam, czy ze wzruszenia, czy z innych przyczyn. A może drżał najzwyczajniej dlatego, że była słaba?

Słuchałam jej i usiłowałam ją sobie wyobrazić. Widziałam drobną postać, na wskroś skromną, nierzucającą się w oczy.

Ubraną w długą zwiewną spódnicę o niemodnej długości – ani midi, ani maxi, taką do pół łydki. Sweter. Jakby za duży, w kolorze magenta (gdyby nie ona, zapewne w życiu nie poznałabym tej nazwy; pewnie nazwałabym go buraczkowym albo wiśniowym, ale ona powiedziała kiedyś: „Lubię kolor magenta”. Potem – jakby tłumaczyła małemu dziecku – wyszukiwała przedmioty, wskazywała na nie palcem i oznajmiała: „To jest magenta, trochę jak amarant, a trochę jak rubin”). Wciąż odgarniała przy tym krótko ostrzyżone włosy, mimo że te ledwie odrastały od głowy. Nie lubiła, jak przylegały do czoła, twierdziła, że wyglądają wówczas nienaturalnie, jak dorysowane niedbałą kreską.

– Wiesz, ja teraz prawie cały czas jestem w domu. Nie wychodzę nigdzie. Jeszcze jestem za słaba. Ale – pospieszyła nagle z zapewnieniem – już lepiej. O, dużo lepiej! Piotr mi załatwił ten szpital. To świetne miejsce i wspaniali lekarze. I wszyscy się tak mną zajmowali, jakbym była nie wiadomo kim. Aż mi było głupio, bo przecież nikt mnie tam nie znał. Ale byli dla mnie tacy mili, tacy mili... – mówiła szybko i słychać było, że wkłada w to niemały wysiłek.

Miałam nieodparte wrażenie, że bardzo jej zależy na tym, by mnie przekonać, że jest z nią całkiem dobrze, pozostaje w świetnej formie i doprawdy nie ma w tej chwili nic ważnego na głowie – więc będzie cudownie, jak o niej napiszę. I zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, ona już zaczęła swą opowieść. Nie miałam śmiałości jej przerywać, ale też nie chciałam. Bo gdy zaczynała mówić, wszystko inne przestawało być ważne. Nikt tak jak ona nie potrafił opowiadać. W pewnym momencie umilkła na chwilę. Słyszałam, jak łapie oddech. Kaszłała.

– Trochę się przeziębiam – tłumaczyła się skwapliwie. – To przez te otwarte okna. Tam, w szpitalu, wciąż wietrzyli. W salach i na korytarzach okna otwarte na przestrzał. Przeciągi na każdym kroku. Ale rozumiem... Przecież muszą tak robić... Te wszystkie choróbska...

Każdą rzecz potrafiła usprawiedliwić.

** * **

Ledwie trzy dni temu syn przywiózł ją z odległego o ponad dwieście kilometrów Śremu. W drodze do Kórnika co rusz zapadała w drzemkę, zmęczona po nieprzespanej nocy. Od dłuższego czasu ból nie pozwalał jej spać. Czasem dawał się uśmierzyć, ale częściej to ona wykrzesywała z siebie jakieś niesamowite siły i dzielnie znosiła kolejne napady. Po wszystkich zabiegach fizjoterapeutycznych czuła się lepiej i niekiedy udawało się jej wykraść trochę snu. Tej nocy jednak przewalala się z boku na bok. Może przez tę podróż... Kilka lat z okładem minęło, odkąd wszelkie wyjazdy znalazły się poza jej zasięgiem. Kiedyś nie było problemu: Barlinek – Wrocław – Warszawa, Polska – Niemcy – Szwecja, nawet do Stanów mogłaby się wybrać... Ale to już było za nią. Teraz z trudem znosiła wyjazdy, zwłaszcza te dalsze. Nieustające bóle stawów i wewnętrzny niepokój powodowały, że wolala się nie ruszać z Barlinka. Owszem, do Gorzowa, Szczecina, ale już nieco dalej... Ech. A przecież tak bardzo chciałyby pojechać choćby do Wrocławia.

Gdy tylko wjechali na autostradę, senność z niej uleciała. Zapadnięta w wygodnym fotelu, Roma przyglądała się beznamiętnemu krajobrazowi. Cóż to właściwie za krajobraz!

Ściany dźwiękoszczelnych ekranów zasłaniały szarobure o tej porze roku pola. Gdzieś w prześwitach majaczył las. Też jakiś smutny i nijaki. Raz po raz do jej uszu docierał świst mijających ich samochodów. Wówczas mimowolnie odwracała głowę. Najgorzej było, gdy wyprzedzał ich tir. Wielki jak stodoła. Najpierw ich doganiał, sadowiąc się niemal na bagażniku samochodu, a potem zjeżdżał na przeciwległy pas. Ze swojej pozycji widziała tylko kręcące się szybko wielkie koła. Potem potężny podmuch powietrza uderzał w ich auto i spychał je nieznacznie na prawą stronę. Wystraszyła się. Dobrze, że Piotr był wprawnym kierowcą i obiema rękami pewnie trzymał kierownicę. Widziała jednak, jak przez ułamek sekundy mięśnie syna drgały, a na skroni pulsowała żyła.

Milczeli. Wolala go nie rozpraszać. Za Jordanowem już z pewnym zniecierpliwieniem wyglądała zabudowań pocysterskiego klasztoru. Pamiętała, że za każdym razem budził jej podziw. Najpierw wylaniały się dwie imponujące wieże, a potem – piękny barokowy zespół klasztorny ze smukłym, strzelistym Kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Świętego Marcina na czele. Odwiedzała to miejsce wiele razy. Lubiła panujący tam spokój. I choć nie chodziła do kościoła na msze, to wnętrza świątyń, tak pełne mistycyzmu, zawsze uprawiały ją w zadumę. Ten kościół pamiętała szczególnie. Kiedy któregoś razu z Antonim zjechali z drogi, by wstąpić do środka, zaskoczył ich młody przewodnik – alumn, głosem ściszym, ale pełnym zdecydowania, najpierw poprosił, by zakryła ramiona, a potem wskazał grupę, do której musieli dołączyć, bo świątynia nie była dostępna do indywidualnego zwiedzania. Już w kruchcie poczuła ów niesamowity nastrój. W powietrzu roztaczał się zapach

kadzidła. Czekali na wyjście innej grupy. Przez uchylone drzwi patrzyła z zachwytem na gotyckie ornamenty, oddalony ołtarz. Chciała jak najszybciej znaleźć się w środku, podziwiać bijący zielenią chór, zachwycać się manierystycznymi dekoracjami na filarach. Dotykać nieskończoności. Wiele razy obiecywała sobie, że tam wróci. Będzie oglądać freski, polichromie, przechadzać się wirydarzami. Ale wciąż brakowało czasu. Ostatnio jakby jeszcze bardziej.

Zdrzemnęła się już przed samym Gorzowem. Piotr oderwał prawą rękę od kierownicy i sięgając na tylne siedzenie, wyszarpał spod wypchanych reklamówek zwinięty, polarowy koc. Opatulił matkę najszczelniej, jak mógł. Była taka mała i krucha. Pomyślał, że jakoś umknął jego uwadze czas, kiedy tak się skurczyła. Wyłączył radio. Ciche pochrapywanie wypełniało niewielką przestrzeń samochodu. Kiedyś przeszkadzałoby mu to, ale teraz te dźwięki, dyskretne jak odgłosy lasu, budziły w nim wzruszenie i tkliwość.

** * **

– Ale nie będziesz mnie nagrywać? – spytała. – Mikrofon, dyktafon... To takie bezduszne urządzenia. Za stara już jestem. – W tonie jej głosu słyszałam niepewność, może nawet próbę tłumaczenia się. Nie lubiła techniki. Tak jak mogła, broniła się przed nią. Nawet telefon, z którego teraz korzystała, dostała od syna. Nalegał. Tak było mu łatwiej. Od jakiegoś czasu trudno mu było pogodzić się z myślą, że jest tak daleko od niej. I on, i Elka. Wiedział jednak, że za żadne skarby nie wyrwie jej z Barlinka. Wszczepiła się tutaj. Zapuściła głęboko korzenie. Splątane, wrosnięte, że trudno wyrwać.

– I chyba już nie dla mnie te wszystkie nowinki. Wiesz, ten telefon, który mam, to Piotr mi kupił. – Ilekroć wymawiała imiona swoich dzieci, w jej głosie brzmiała duma. – Bo on się wciąż o mnie martwi. Ela też. Dzwonią do mnie. Często. Piotr to tak różnie, ma dużo na głowie. Ela za to dzwoni zawsze o tej samej godzinie. Już się nauczyłam wciskać te małe przyciski, chociaż czasem jeszcze się mylę. Ale i tak lubię ten ograny dzwonek telefonu stojącego na półce. Nie muszę go szukać po domu. Zawsze jest w tym samym miejscu... Tę komórkę staram się zawsze trzymać przy sobie. Żeby jak najszybciej odebrać. Nieraz nie zdążę...

– Nie, Roma, jeśli nie chcesz, nie będę nagrywać – uspokoiłam ją. – Bo wiesz, zawsze jak mnie nagrywają albo filmują, to ja z miejsca tracę rezon – pospieszyła z wyjaśnieniem, jakby się wystraszyła, że zrezygnuję z tego pomysłu. – Ja chcę rozmawiać, nie mówić. Mówić mogę do siebie – dodała z zadziwiającą żarliwością. – W końcu od dawna mieszkam sama. Możesz notować. Wszystko. Jak trzeba, powtórzę.

– Dobrze, będzie, jak chcesz. Ty będziesz mówić, mówić, mówić, a ja będę pisać, pisać, pisać.

Roma umilkła, a ja już widziałam siebie skrzętnie notującą jej słowa. Kiedy coś mi umknie, pytam, wracam, drążę. A Roma – jakbym przycisnęła w niej przycisk cofania, wraca do niepełnego epizodu.

SPOTKANIE PIERWSZE: ZAPACHY

Na Podolu płacze kamień, hen pod lasem jest ten kamień.

Podolanka siadła na nim, samiusieńka jak ten kamień.

Siedzi, szlocha, ręce łamie. Gdzie jest prawda, a kto kłamie?

Oczy we łzach, głos się łamie. Jaka prawda i kto kłamie?

– Już jesteś! Dobrze! – przywitała mnie z uśmiechem. Chwilę się wahała, nie wiedząc, dokąd mnie zaprosić. Do jednego pokoju czy do drugiego.

W korytarzu stały częściowo rozpakowane torby.

– Jeszcze się całkiem z tym nie uporałam. Wiesz, coraz trudniej mi się ogarnąć. Ale już prawie! Zostało mi kilka rzeczy do prania! Może dzisiaj.

I zaraz, drobiąc krok, zaprowadziła mnie do kuchni.

– Lubię siedzieć w kuchni! A ty? – Nie czekała jednak na odpowiedź, tylko kontynuowała z ożywieniem: – Kuchnia jest taka swojska, prawda? Gdy przyjaciele przychodzą do mnie, siadamy właśnie tutaj. Ciasno nam, gnieździmy się jak sardele, ale co tam... Nikomu to nie przeszkadza.

Uśmiechała się i kątem oka sprawdzała, czy na pewno mi to odpowiada. Odpowiadało. Kuchnia skracala dystans. Nie musiałam siedzieć z elegancko ułożonymi nogami, wyprostowana i sztywna. Mogłam oprzeć ręce o stół albo skrzyżować pod nim stopy.

Na blacie piętrzyły się książki, skoroszyty, albumy. Szybko rzuciłam okiem na grzbiety. Jakaś cienka broszurka Nasze Kopyczyńce, czarny skoroszyt.

– Nie, nie! Na to nie patrz! Tak sobie tylko przeglądałam! Wiesz, musiałam wywlec z pamięci pewne rzeczy. Coraz częściej wszystko mi się kićka... – Rozłożyła bezradnie ręce, zarzucając ramionami. Pokręciła głową i dodała pogodnie: – Tak już jest! Ulatują z głowy całe lata... Jakby ich w ogóle nie było. Ale wiesz, czasem chciałoby się, by coś zniknęło. Na zawsze. Tak, jakby nigdy się nie zdarzyło.

Nagle poderwała się i podreptała do przedpokoju. Wróciła po chwili, grzebiąc w niewielkiej, skórzanej torebce.

– O, zobacz! Mam! Chciałam ci to pokazać.

Podala mi mały obrazek przedstawiający białą fasadę klasztoru. Odwróciłam go i przeczytałam kilka zdań o zespole klasztornym. Zupełnie nie rozumiałam, o co jej chodzi.

– O, tu byłam! W tym klasztoru. Nie! Nie klasztoru! To duży kompleks. Piotr mi załatwił miejsce. Ale mniejsza o to! Tam – ściszyła głos, jakby zamierzała zdradzić jakąś wielką tajemnicę albo przynajmniej powiedzieć coś bardzo niestosownego – tam były wariatki. Codziennie wychodziły na spacer i krążyły przy ogrodzeniu. Jedna za drugą. Jak gęsi. Rzadko ze sobą rozmawiały. Wszystkie oprócz jednej. Piękna dziewczyna z długimi włosami. – Roma opowiadała z półprzymkniętymi powiekami. To pozwalało jej przywołać jak najdokładniejszy obraz. Jej dłonie wędrowały wzdłuż skroni, jakby to ona miała piękne, długie włosy. – Była młoda i prężna. Niektóre czasem podchodziły do ogrodzenia i prosiły o papierosa. Dawałam, chociaż wszyscy mówili, by nie dawać, bo się nie odczepią. Ale tamta – nigdy. Krążyła. Miarowo.

Widziałam, że wciąż coś szemrze pod nosem. Korciło mnie, by ją zaczepić. Chciałam wiedzieć, co mówi... Pewnie ona też miała swój świat, a może zaklinała coś, może coś z siebie wyrzucała...

Roma zamilkła na moment. Czulałam się cokolwiek zażenowana tą opowieścią, nie rozumiałam związku. Wpatrywałam się beznamiętnie w małą fotografię, by ukryć zmieszanie, gdy nagle ni w pięć, ni w dziewięć rzuciła:

– Wiesz, lubię wariatki!

Odsunęła ode mnie popielniczkę. Wzruszyła ramionami. Dostrzegłam w jej twarzy wyraz zawstydzenia, jakby chciała powiedzieć: Wiem, już dawno powinnam była rzucić to cholerstwo.

– Roma, jak chcesz, to pal. Mnie nie przeszkadza. – Trochę skłamałam. Odstawiłam papierosy kilka lat wcześniej, dym wciąż mnie drażnił, a czasem kusił, tak że najchętniej chwyciłabym jednego i zaciągnęła się głęboko, aż po wszystkie tkanki.

– Nie, nie... Ja bardzo mało palę. Czasem tylko... Właściwie to prawie wcale... – tłumaczyła się jak uczennica, ale kiepsko jej to wychodziło: w domu wisiał intensywny zapach dymu nikotynowego. Nie miałam jednak zamiaru jej mitygować. Jej dom, jej sprawa.

Kuchnia tonęła w popołudniowym świetle – wlewało się do środka przez duże okno, tańczyło na mosiężnych dzwonkach, blaszanych ptaszkach i glinianych dzbankach. Siedziałyśmy naprzeciw siebie. Kątem oka widziałam, jak Roma skubie skórki przy paznokciach; przy niektórych porobiły się już małe ranki. Chyba złapała moje spojrzenie, bo wstydliwie zwinęła dłoń w pięść. Obie byłyśmy sobą nieco skrępowane. Ja – bo oto miałam wnikać w jej życie, dopaść do jej wspomnień, tych najodleglejszych. Pewnie

już poupychanych w głowie w dawno nieodwiedzanych zakamarkach, przykurzonych, zapomnianych. Ona – bo oto miała wyjść z za fasady, która chroniła jej intymność, za którą całe życie skrywała swoje lęki, żale i nagle teraz pokazać się mnie, nie jako silna osoba – barlinecka Roma, którą wszyscy tu znają i podziwiają – ale jako krucha, pełna bolesnych doświadczeń, stara, schorowana kobieta.

* * *

– Powiem ci o Kopyczyńcach, o miejscu utraconym – zdecydowała.
– To najpierw. Bo później... Później wszystko może się zdarzyć. –
Wzięła do ręki cienką, zieloną książeczkę. Przerzucała kartki wte i wewte. – Nie da się na kilkudziesięciu stronach spisać wszystkiego. Nawet na setkach, na tysiącach... Można utrwalić tylko to, co się da opowiedzieć. A ile się nie da, a ile się nie chce...
Kiedy w latach sześćdziesiątych przyjechałam tu pierwszy raz, młoda byłam, zagubiona, i nie szukałam jeszcze swojego miejsca. Ale gdy zobaczyłam to miasto. Te lasy. To jezioro w środku cywilizacji, w samiułtkim centrum. Że nawet nie trzeba było iść poza miasto, bo ono było jego sercem. Otulone lasami. Okolone gęstwą trzcin z krzyczącym ptactwem. Wiedziałam, że to moja ziemia odzyskana.

* * *

– Roma. A jak to możliwe, żebyś ty to wszystko spamiętała? Te Kopyczyńce, ten staw w środku miasta? I Kutec? I Żydów w tych tałasach z fajtającymi cycesami, w tych chałatach, które podczas ożywionych rozmów przy wyszynkach, kramach łopotwały niczym

wielkie skrzydła straszego ptaszyska? W tych letnich jarmułkach i zimowych lisiurach. Z tymi pejsami wijącymi się przy skroni jak małe zmijki.

Zamyśliła się, jakby wygrzebywała z głowy odpowiedzi, szukając tej najważniejszej. W końcu westchnęła głęboko i rzekła:

– Już sama nie wiem, co było naprawdę, a co sobie wymyśliłam.

* * *

Kiedy wyszłam z jej domu, nie potrafiłam powiedzieć, ile czasu tam spędziłam. Już u siebie kartkowałam biały notes. Dziwne to było spotkanie.

* * *

Dom Józefczuków stał na Słonecznej, tuż przy szemrzącym strumyku wpływającym zaraz za zabudowaniami do rzeki Niczławy, która ciągnęła się płasko przez Kotówkę, Kołędziany i Borszczów, by w Kopyczyńcach rozlać się w wielki staw pośrodku miasteczka. Nad nim w pewnym miejscu zamiast mostu była grobla łącząca brzegi, miękka i grząska. Ów staw stanowił naturalną granicę dzielącą miasto na dwie części. W jednej z nich było centrum – z szeregiem okazałych willi otoczonych wyrafinowanymi ogrodami, zadbanymi sadami, z instytucjami miejskimi: szkołą, sądem, starostwem, cerkwią, synagogą i kościołem. Tutaj też przebiegała ulica Kolejowa, z dworcem kopyczyńskim, z którego można było się udać do Tarnopola, a stamtąd choćby już na koniec świata. Tutaj był Kutec – uboga dzielnica ukraińska z szeregiem lepianek krytych słomą, białych z niebieskimi przyzbami barwionymi ultramaryną, gdzie latem siadali mieszkańcy i śpiewali, a ich głosy niosły się po całej

okolicy, z drewnianymi płotami zbitymi byle jak, bez baczenia na nic – ani na trwałość drewna, ani na solidność konstrukcji. I rynek z drewnianą bożnicą, z której wnętrza docierały śpiewne modlitwy, a przez szpary w czas szabatu można było zobaczyć, jak Żydzi, obleczeni w ciemne chałaty, przed aron ha-kodesz, nad którą wisiała lampka ner tamid, kiwają się w przód i tył, mając pejsami skręconymi jak francuskie loki.

Po lewej stronie nad stawem – tam, gdzie mieszkali Józefczukowie, ale nieco wyżej, na niewielkim wzniesieniu ciągnął się park porośnięty starodrzewem, wśród którego straszyły ruiny pałacu, ze szczerbami murów, z wielkimi oknami pozbawionymi ościeżnic i szyb, pustymi na przestrzał niczym upiorne ślepie. Nieco dalej, już prawie na samym szczycie, stał dom, w którym mieszkał z rodziną bogaty Żyd Berehulka – człowiek zacny i o wielkim sercu.

Wokół domu Józefczuków panoszyły się kępy łopuchów z rozcapierzonymi liśćmi, ogromnymi niczym łapy wielkoluda, i z wystającymi na cienkich łodygach różowo-fioletowymi kwiatostanami przypominającymi podwodne peryskopy eksplorujące świat. Rośliny słały się gęsto, tworząc nisko nad ziemią rozległy baldachim, co to mógłby posłużyć za schronienie pomniejszej zwierzynie albo niewielkiemu dzieciakowi, gdyby nie to, że sercowate liście, pod spodem szorstkie i szarawe, były nieprzyjemne w dotyku. Nieco dalej ciągnął się pas ugorów. Mało kto siał pszenicę, proso czy grykę. Ziemia w większości leżała odłogiem i rodziła dawne, stepowe trawy. Ale zdarzały się kawałki gruntu, na których zboże wykwitało wysoko w niebo i szumiało roztrzęzionymi złotymi kłosami, pełnymi ziaren dorodnych i chlebnych. Można było się wśród nich schronić i zapomnieć o całym świecie, z żyznym czarnoziemem pod nogami

i błękitnym niebem nad głową. Domostwo leżało przy brzegu niewielkiego strumyka. Za tym jałowym pasem Józefczukowie okolili swą posiadłość kordonem krzewów porzeczki, agrestu i derenia, który wyrastał całkiem przypadkowo, ale Władysław Józefczuk pozwolił mu się rozwijać. W czasie kwitnienia skraj ogrodu wyglądał jak kolorowa, wyrafinowana ramka dagerotypu przedstawiającego sielski krajobraz. Władysław z niesłabnącą wdzięcznością dziękował Bogu za wszystko, co ten mu dał. (Wiele lat później, w sadzie na Psim Polu, z taką samą gorliwością będzie przyjmował razy otrzymane od Stwórcy).

* * *

Zazwyczaj o tej porze roku ptactwo czyniło w pobliskich szuwarach i w przybrzeżnym sitowiu rwetes na całą okolicę. Teraz jednak złowróżbna cisza aż dzwoniła w uszach. Nawet w oddalonym o kilkadziesiąt metrów lesie panował niepokojący spokój, jak na tandetnych obrazach przedstawiających dzikie ostępy. Powietrze zdawało się wciąż drzeć. Zapamiętałe. Niewidzialne wibracje na wskroś przeszywały nieruchomą przestrzeń. Miało się wrażenie, że kilka metrów nad ziemią zawisł zapach przestrelonego prochu. Trochę kwaśny, trochę ostry. I choć jakiś czas temu – godzinę, może dwie – ucichł świst kul i huk spadających w okolice bomb, przyroda nadal tkwiła w niemej trwodze.

Roma wędrowała ufnie i bez celu, zostawiając w tyle dom, w którym umęczona matka niczym ta ze świętych obrazów – cierpiąca, acz cierpliwa jak sam Jezus Chrystus – co dzień nakazywała najstarszemu synowi tonem bynajmniej nie żarliwym, przeciwnie – pozbawionym nadziei i radości:

– A ty, Juruś, tylko pamiętaj, by na Romusię, siostrunię swoją młodszą, baczyć! Wiesz, że ona wciąż jak nie z tego świata. A ja, widzisz, chłopcze, uwiązana przy Adzi, rady już nie daję. I choć widzi mi się, że mam dodatkowe oczy wokół głowy i dwie nowe ręce jak u jakiego jaszczura, to i tak gonię w piętke, a roboty nie ubywa. Ojciec... jak to ojciec... Ech! – Machała ręką, pozostawiając kwestię męża niedopowiedzianą.

Zaraz też kręciła się po domu; a to przepierkę robiła, a to pichciła na kuchence, z której dymiło jak piorun. Przepalali, czym się dało. Latem trzeba było tylko pod kuchnią palić, to jakoś sobie radzili. Gorzej, gdy temperatura spadała, wówczas musieli cały dom ogrzać. Ściany ceglane teraz z wolna oddawały ciepło, które zmagazynowały, aż w końcu pozostawały zimne, nieprzyjemne. A z lasu nie można było drewna ciągnąć, tyle tylko co chrust. Nie oni jedni potrzebowali. O węglu nie szło nawet pomarzyć. Matka na solidnym niemieckim Singerze, pozostałym jeszcze z posagu, przerabiała z siebie ubrania, by Roma miała w czym chodzić, a po niej jeszcze kiedyś Adzi mogłyby te sukienki i fartuszki posłużyć, bo to nie wiadomo było, co przyszłość przyniesie. Patrząc na to, co się wyrabia, trudno było o nadzieję. Przecież żyli tu jak w kipieli – gwałtowne, nie do pohamowania wichry historii szalały nieustannie. Jak nie Niemcy, to Ukraińcy albo i Ruski. Nie szło się chronić, nie wiadomo było, skąd ani kiedy przemoc przyjdzie, kto wróg, a kto przyjaciel. A zresztą, co tu gadać! Przy trójce drobiazgu było co robić i wojna niepotrzebna, by Maria miała prawo być umęczona.

Jurek zatem posłusznie chwycił młodszą siostrę i ciągnął tak długo, póki nie zniknęli z pola widzenia Józefczukowej. A gdy odległość od domu była już na tyle bezpieczna, że matula ani ich nie

widziała, ani nie słyszała, nachylał się nad siostrą i wyciągając szyję ponad jej płową głowę, by dojrzeć w oddali czekających niecierpliwie kumpli, gotowych do nowych zabaw, napominał:

– Romusia, ty tu zostań! Pooglądaj sobie motylki, ptaszki. Pozrywaj kwiatki, wianuszki uwij, to potem zaniesiemy je mamusi albo Panience do kapliczki. Wiesz, krasnalu, jak one to lubią. A ja zaraz przybiegnę i pójdziemy razem nad staw albo w kamyczki pogramy. Dobrze?

I szybko muskał ustami jej czoło, odgarniał pszenne włosy z jej oczu, i śmigał przez łąki do chłopaków grać w bolkę lub kręcić aureolę z krowiego łajna, zamkniętego w podziurawionej puszcze po ruskich konserwach i podpalonego tak, że z otworów na świat wylatywał biały dym. Każdy z chłopaków chciał być świętym, choć nie każdemu udawało się nimb nad głową nakreślić.

* * *

Niebo błękitniało. Tylko strzępiaste obłoki, niczym kępy pierza rzuconego przypadkiem gdzie bądź, przesuwały się leniwie od czasu do czasu, przyćmiewając napastliwe słońce. Dziewczynka śledziła modraszka, który przysiadł na liściach traganka, rozwijał swoją trąbkę i zapuszczał ją głęboko w kielichy motylkowych kwiatków zebranych w luźne grona. Chciała pochwycić pięknego owada, ale bała się, że uszkodzi jego skrzydełka i motyl pozostanie na liściach skazany na śmierć. Podskakiwała więc, wysoko unosząc nogi, by nie dosięgły jej pokrzywy i kłujące osty. W pewnym momencie modraszek poderwał się do lotu i poszybował wysoko, zlewając się z błękitem nieba.

Długo wpatrywała się w górę, mrużąc oczy osłonięte daszkiem z dłoni. Naraz jej uwagę przykuła kolorowa plama mająca nieopodal wśród pasa zielonych, przydomowych krzewów. Roma podchodziła bliżej, coraz bliżej. Niektóre gałęzie były połamane lub przygniecione. Jedna z nich, przygięta do ziemi kraciatą tkaniną, wyglądała jak naciągnięty na pałąk brezentowy kolorowy namiot. Błyszczące świeżą zielenią liście były pokryte czerwonymi kropkami, zupełnie jakby ktoś omaścił je sosem żurawinowym. Tutaj, blisko szpaleru krzewów owocowych, słodka woń rozkwitających roślin mieszała się z zapachem ziemi i krwi.

* * *

Roma pamiętała ten zapach tak jak wiele innych. Na przykład zapach mięty. Ostry, drażniący i miły. Mięta rosła tuż za domem od strony strumyka. Wybujała, gęsta, co roku zawłaszczala kawałek ogrodu. Dawniej tatuś trzebił nowe pędy, bo panoszyły się bezczelnie, odbierając przestrzeń warzywom, ale z czasem machnął na nie ręką. Nie było komu robić w ogrodzie. Maria miała dość obowiązków w domu i przy dzieciakach, a Józefczuk chwycił się, czego się dało, by mogli jakoś przeżyć. Nic więc dziwnego, że ogród stawał się coraz dzikszy, ale za to dzieciaki miały używanie. Gdzieniegdzie można było się natknąć na place szczawiu lub karpy rabarbaru, z których liści Roma robiła sobie parasole. Przy samiutkim domu pyszniły się lilie. Były piękne i wyniosłe, zupełnie jak te na obrazie ze świętym Józefem, któremu cudny kwiat ze zwykłej gałązki wyrósł i dzięki temu został Józef oblubieńcem Najświętszej Pani. Mała nie potrafiła się oprzeć, by nie podejść do nich, nie wsadzić nosa w turbanowy kielich, żeby wciągnąć słodki, mdły zapach. Zawsze po

tym miała umazany czubek nosa i wyglądała jak mały klaun. Najbardziej jednak lubiła miętę. Zrywała świeże łądźki, zgniatała je w małych rączkach, tak że wyciekały z nich krople soku, barwiąc na zielono wnętrze dłoni i pozostawiając na skórze rzešką woń. Często wrzucała garść liści do kieszeni, gdzie przysychały, a potem kruszyły się po całym domu, roztaczając tę obłędną woń.

* * *

I jeszcze zapach palonego ciała Roma na zawsze zapamiętała, choć nigdy sama go w myślach nie przywoływała. A gdy już się pojawiał, zawsze szły za nim nieprzyjemne łechtanie na grzbiecie i uderzenia gorąca, jakby plecami przywierała do rozgrzanego pieca.

Było to bodaj za czasów sowieckiej okupacji. Życie w mieście stawało się coraz trudniejsze, mało kiedy dawało się zapomnieć o wojnie, która już dawno wymknęła się historii. Dojmująca bieda, nieustanny strach, zgryzota i niepewność jutra. Ludzie zarówno w Kopyczyńcach, jak i na całym Podolu, żyli z dnia na dzień, śpiąc z półotwartymi oczami, bez ustanku nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Nieszczęście mogło się czaić z każdej strony. Od wschodu, od zachodu. Co bardziej zapobiegliwi kopali w sadach lub ogrodach schrony, które zrobione naprędcie często się sypały, zalewały je deszcze lub łąły się w nich szczury. Ale zawsze tam było bezpieczniej niż w domu. Czasem, gdy naloty nie ustawały, ludzie tłoczyli się w ziemiankach przez długi czas. Było ludnie. Kopyczyńczanie, przywarci jeden do drugiego, czekali na ciszę, a potem wracali do swych domów, coraz uboższych i coraz mniej przypominających spokojną przystań. Z poniszczonymi dachami, oknami bez szyb, straszących jak mroczna zjawa.

Rów, w którego zagłębieniu toczył swój leniwy nurt strumyk, porastały rzędy rosochatych wierzb. Przysadziste, powyginane jak stare kobiety, z garbami po jednej lub po drugiej stronie. Suche i pomarszczone. Nawet gdy wiosną, sącząc soki, wypuszczały gibkie, prężne wicie obsypane zielonymi listkami, to jednak pnie miały wysłużone i suche. Podatne na ogień.

Tamtego dnia na mostku przerzuconym przez ów strumień dzielący Józefczuków od przedmiejskiego Kutca stał Rusek. Co robił, tego nie wiadomo. Może kurzył fajkę, może palił jakieś papiery. Dość, że w pewnej chwili iskra gnana wiatrem zaplątała się w wierzbowe wicie, naówczas jeszcze długie i suche jak spalone słońcem, przewiane wiatrem chochoły. Drzewo w okamgnieniu zmieniło się w płonącą pochodnię. Ogień pozbawiony jakiegokolwiek kontroli zajmował kolejne i kolejne wierzby, czyniąc coraz większe spustoszenie. Nie wiedzieć kiedy, potężne płomienie wzięły w posiadanie najbliższą chatę Sawczuków. Drewniana i kryta słomą, bezwolnie poddała się nieubłaganemu żywiołowi. Na nic się zdały wysiłki zaskoczonych mieszkańców: gospodyni Halinki ani jej dzieciaka, małego Mykity, ani starego ojca Hryhorya. Głodne, pożądliwe ozory lizały zachłannie piędź po piędzi, drwiąc z ludzi rozpaczliwie wymachujących, czym popadło, usiłujących z okrutnej, piekielnej gardzieli wyrwać cokolwiek, choćby pierzynę czy ikonę Zaśnięcia Matki Bożej, do której co dzień składali ręce, wierząc w odwrócenie losu.

Smuga czarnego dymu i zapach spalenizny wyrwały małą Romeę z zabawy w odgadywanie kształtów chmur sunących po niebie. Te bowiem raz przybierały formę konia z rozwianą grzywą, prującego przez bezmierną niebieską przestrzeń, a raz wyrodzeńca

trzepoczącego się niespokojnie po niebie. Dziewczynka poderwała się na równe nogi. Nieopodal szalał pożar. Czerwone płomienie górowały nad ziemią jak wielkie pióropusze. Wyrzucały w górę tysiące iskier, które gasły w locie, sypiąc wokół szary pył. Do uszu Romy dolatywały krzyki i jęki. Pędem rzuciła się w stronę pożogi. Dym zasnuwał wszystko. Trzaskowi walących się beli wtórowały przeraźliwe odgłosy zwierząt, piski, kwilenie, ujadanie. Gorący podmuch cofnął ją, więc w panice popędziła w stronę domu. Wpadła do izby i ledwie łapiąc oddech, krzyknęła zapamiętałe:

– Mamusiu! Tatusiu! Cały Kutek czerwony! Słońce spadło na ziemię! Sawczuki płoną!

Matka, beznamiętnie podtykając pod nos małej Agatki wymęczoną, nabrzmiałą pierś, podniosła pozbawione życia oczy na Romę i syknęła gniewnie:

– Cicho. Nie widzisz, że karmię?

Słowa starszej córki nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Nieraz już tak było, że Roma przybiegała do domu i raczyła ją niestworzonymi historiami. Zapewne zasłyszany od starej Maksymiukowej, której co jakiś czas Józefczukowa podrzucała skromne wiktuały, niekiedy jakieś ciuchy, by ta trochę się Romą zaopiekowała. Dziewczynka przynosiła z tych wypraw raz kosze grzybów z pobliskich jarów, a raz niestworzone historie o diabłach, wyrodzeńcach zamieszkujących leśne głusze, wadoły i wykroty. Maria nie miała ani głowy, ani cierpliwości do tych romowych bajdurzeń.

– No, dalejże, malutka, mamusia jest przy tobie! – powiedziała do zawiniętej w becikowy naleśnik córeczki. Do Romy zaś rzuciła chłodno: – Nie krzycz. Siostra się wzdryga i puszcza pierś. Goń na pole, nie czas na banialuki.

Roma chwilę rozglądała się za ojcem czy bodaj za Jureczkiem, ale skoro żaden z nich się nie pojawił, obtarła łokciem spotniałą twarz, rozmazując na policzkach ciemne smugi kurzu, Sierota wiedzona dziecięcą ciekawością, pobiegła z powrotem za most.

A tam trzaski, huki. I wszędzie ogień! Co zdołała odskoczyć od niego na krok, ten dopadał ją znienacka, dybiąc na jej życie. Nie ustawały lamenty i wrzaski, schowane za krwawą kurtyną. Roma zaczęła uciekać. Była dalej przed siebie! Dym szczypał w oczy. Łzy mieszały się z popiołem, zostawiając na twarzy siwą pajęczynę. Małymi rękami osłaniała powieki. Ogień buchał coraz bliżej, zuchwały, rozjuszony, wszędobylski. Zniknęło niebo i zielone drzewa, i złote pola. Świat płonął. Roma biegła. Co sił. Pod górę. Zaoranym brunatnym zboczem. Pełnym bruzd. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Była pewna, że za moment staną i nie zrobi już choćby pół kroku. Jak w zepsutym mechanizmie pozytywki od wujka Juliana, która grała i kręciła się, podobna do rzeczywistego świata, do czasu, aż ciekawskie łapy Jurka nie wzięły się za rozwiązywanie jej tajemnic. Wtedy mechanizm odmówił posłuszeństwa i znieruchomiał jak w zabawie „Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy!”.

Języki ognia lizały plecy, muskały odsłonięty kark. I nawet nielicha kieculka, przerobiona z dawnej pluszowej sukni balowej Marii, nie zdołała ochronić skóry przed palącym gorącem, które jak okropny potwór za chwilę ucałi dziewczynkę i pochłonie na zawsze. Ciężkie, bawełniane, patentowe pończochy zsuwały się z nóg, układając się na chudych kostkach w niekształtne obwarzanki. Pocerowane dziury na piętach i palcach raniły stopy Romy. Ale biegła! Nie oglądając się za siebie, wciąż biegła. Przerzucała do przodu cienkie warkocze, bo bała się, że zabłąka się w nich jakaś iskra

i ona – Roma Józefczuk – spłonie jak te przybrzeżne, rosochate wierzby. Oddech dziecka stawał się coraz szybszy i coraz płytszy. Z każdą sekundą dystans od żywiołu się skracał. Dramatyczna ucieczka nie miała końca. Żar palił bezlitośnie. Już na samym szczycie, ledwie żywa, pozbawiona nadziei, wpadła prosto w objęcia Rozalii Demeńczukowej, która przygarnęła drobną istotkę do obfitej piersi i głaszcząc potargane włosy, jęła zawodzić:

– Mój Panie! Roma! Dziecko złote! A co ty tu robisz? Wszak na dole panoszy się ogień! W całej okolicy żar, jakby piekło się na świat wydobyło!

Zaraz też, obcierając rękawem osmoloną twarz dziecka, zawołała do męża:

– Zostawże te konie i pospiesz się! Kutec w ogniu! A tu mała od Józefczuków ledwie żywa!

Roma, wymęczona do cna, leżała w salonie Demeńczuków, wciąż z trudem łapiąc powietrze. Stiukowy sufit wirował. Wszystko było tak piękne jak w zmyślonych opowieściach, jakby naraz przeniosła się w świat baśni. Może mogłaby tu pozostać, choćby tylko trochę. Gdyby nie ten gorący, palący wewnątrz dziewczęcego ciała i wykwitający na twarzy rumień. I ten krzyk dobywający się z każdej strony. Nieustający. Uwierający. Taki, który pozostanie w niej już do końca życia. Zakotwiczony się w schowanej szufladzie w mózgu – tej od wiecznej pamięci. Będzie dzwonił w uszach, wrażając się w najdalsze zakamarki umysłu.

– Napijże się, dziecińko! – Rozalia Demeńczukowa podała jej kwartę z ciepłym sokiem z porzeczeki.

Roma piła zachłannie, ale za skarby świata nie mogła wyczuć kwaskowatego smaku owoców. Czuła jedynie zapach spalenizny.

– Chcę do domu. Mamusia czeka – powiedziała, nadal jeszcze przestraszona. Pragnęła wracać. Bała się, że ogień przeskoczył strumień i strawił jej dom. I matulę, i małą Adzię, i, kto wie, może nawet Jurek i tatko mu ulegli. Może już nie ma jej świata. Tylko wszędzie pył, gorący jak rozżarzone węgle pod kuchennymi fajerkami.

– Cicho, Romciu. Sprowadzimy cię, maleńka – uspakajała ją kobieta. – Odpoczniesz, sił nabierzesz i wtedy pójdziemy do twojego domu. Zejdziemy bokiem. Tam pewnie bezpiecznie.

Niebo było bezchmurne, błękitne, choć nieco przydymione, jakby ktoś zasłał je lekuchnym woalem. Ale świat widoczny w dole wciąż był niewyraźny. Zamiast zieleni i złota – straszna szarość. Smutek. Gdzieś wznosiły się nieregularną wstęgą snopy dymu. Przestrzeń zionęła pustką. Demeńczukowa kręciła głową, nie dowierzając, jak małej Romce udało się wyrwać z okrutnych szponów pożogi. Schodziły powoli, mocno trzymając się za ręce. W końcu zza zakrętu wyłonił się dom Józefczuków.

– O, widzisz! Wasz dom stoi spokojnie – powiedziała kobieta, gdy doszły do mostku. – Leć, bo pewnie wszyscy truchleją na myśl, że mogło ci się coś przytrafić – dodała, delikatnie mierzwiąc rozczochrane włosy małej.

Roma już postąpiła do przodu, gdy nagle ciszę przeciął przeraźliwy krzyk. Znieruchomiała, wypatrując jego źródła – i w tej samej chwili, wiedzona niewiadomym impulsem, zawróciła do Kutca.

W powietrzu niósł się smród palonego tłuszczu. Spomiędzy tumanów kurzu wyglądały okopcone zabudowania. Zgliszcza i rumowisko! W tym dantejskim krajobrazie nie szło uchwycić

żadnego kształtu. Gdzieniedzie pałętały się pojedyncze sztuki ptactwa. Z boku, po drugiej stronie chałupy Sawczuków, stała grupka ludzi. Umorusanych, usmolonych, z zakasanyimi rękawami i nogawkami, w postrzępionych ubraniach. Wszyscy byli zwróceni w stronę Halynki. Ta zaś klęczała, bijąc czołem w ziemię i drąc się nieludzko. Wśród spopieliałych sprzętów i fruującego pierza leżała krowa. Rozbebeszona. Z popalonego truchła wylewały się wnętrzności. Zwierzę miało szeroko rozwarte ślepią. Kobieta przykrywała je czarnymi dłońmi, które raz po raz podnosiła w rozpaczliwym geście, by schować w nich twarz lub rwać włosy z głowy. Nie przerywała zawodzenia, które chwilami przechodziło w zapamiętały skowyt.

Roma przyglądała się tej scenie mimo narastającego strachu. Przesuwała drobne dłonie – raz na oczy, rozcapierzając palce, by mimochodem przypatrywać się owemu makabrycznemu widowisku, a raz na uszy, bo jęki i lamenty stawały się nie do wytrzymania. Przerażona, już zawracała do domu, gdy w ostatniej chwili za zwałonym cielskiem krowy dojrzała zwęgloną postać starego Sawczuka. Ogień strawił go bezdusznie. Powykręcane kończyny. Wypalona twarz. Prześarte przez żywioł chuderławne ciało starca leżało pozostawione samo sobie. Jedno oko jak u krowy – otwarte. Całkiem jakby mężczyzna, przymrużywszy powiekę, chciał powiedzieć: „Ot, taki los. Nie dość, że za życia byłem gorszy niż pies, to i po śmierci nie stałem się wart ludzkiej uwagi”.

Przez chwilę zdawało się Romie, że stary na nią patrzy. Wzdrygnęła się i zaraz uciekła.

Przed drzwiami chałupy stał tatko, przestępując z nogi na nogę. Był mocno zatroskany. Z głębi domu dochodził głos matuli:

– Skaranie boskie z tym dzieckiem! Lećże na Kutec! Pewnie tam ją poniosło! Wszystkiego ciekawa! Tylko Jurka nie posyłaj! Jeszcze się gdzie zawieruszy! Mam już dość! Jakby mało człowiek miał kłopotu!

Władysław Józefczuk szykował się na poszukiwania córki, gdy nagle ta wyrosła przed nim jakby spod ziemi. Zdyszana, usmolona. Widząc ją całą, dopadł do niej i chwycił w objęcia.

– Romusiu! Dziecinko! Gdzieś ty się podziewała? Mamusia od zmysłów odchodzi. Brat twój spotkał panią Rozalię i ta mu powiadała, że niemal pod same drzwi cię doprowadziła! A tu ciebie ani widu, ani słyhu. – Całował przyprószone pyłem czoło córeczki, odgarniał z czoła włosy usztywnione popiołem i gadał jak w malignie: – Ale nic to, nic to, serduszko! Już wszystko dobrze. Już tatuś przy tobie. Zaraz obmyjemy i razem podziękujemy Bozi za wszystko! Potem już tylko kolacja i pacierze do świętej Panienki.

O dziwo, matka nie odezwała się słowem. Obrzuciła tylko dziewczynę karcącym wzrokiem, pokręciła z dezaprobatą głową i na powrót zajęła się Adzią, która, niczego nieświadoma, gugała radośnie, wyrzucając w górę krótkie nóżki.

W nocy Roma długo nie mogła zasnąć. Co jakiś czas wynurzała się spod ciężkiej pierzyny i trącała brata, ale ten spał jak zabity. Pokój przecinał snop światła, cienie sprzętów tańczyły na ścianach. W końcu po cichu wygramoliła się z łóżka i na paluszkach potruchtała do pokoju rodziców.

Matka też nie spała. Na wiernym Singerze, wystukującym jednostajny rytm, reperowała pościel, jurkowe portki, ojca kościolowy surdut. Mała stanęła za nią. Wpatrywała się w pochyloną postać, która wprawnie wsuwała pod stopkę partię materiału. Z ust,

poblądłych tak, że odcinały się na tle smagłej cery, zwisała czarna nitka. Maria jeszcze z domu pamiętała, jak matka jej nakazywała: „A pamiętaj, dziewczę, by choćby kawałek nitki w ustach trzymać, gdy szyć będziesz, cobyś, Boże, uchowaj, sobie rozumu na wieczność nie zaszyła”. Nierówne fałdy tkaniny zsuwały się po drugiej stronie maszyny. Cichy terkot działał na Marię kojąco. Lubiała szyć, choć zapewne wolałaby mieć do dyspozycji gładkie jedwabie, miękkie aksamity, ale cóż – było, jak było. I tak nie mogła narzekać, bo po sobie miała ciuchów niemało, a i ciotka Lonka podrzucała co rusz jakieś fatałaszki. Było z czego kombinować. Skupiona, naciągała uważnie tkaninę, by maszyna nie wciągała materiału i nie pętelkowała nici, gdy nagle poczuła oplatające ją ręce. Drobne palce przebierały po jej brzuchu, usiłując zamknąć ją w obręczy. Maria się odwróciła. Roma. Mała i bezbronna. Ogarnięta czułością, przytuliła dziecko.

– A czemuż ty, Romusiu, nie śpisz? Toż to noc ciemna. Pora już.

Dziewczynka zwinnie wsunęła się na kolana matki. Wiedziała, że nocy pozostało już niewiele i matka może być zła, że jej przeszkadza, ale musiała zapytać. Tamten obraz pogorzeliśka. Krowa. Stary Sawczuk. I ta nieludzka rozpacz Hałynki. Wszystko to nie dawało jej spokoju, przewalało się w głowie i co przymknęła oczy, starając się przywołać jakieś inne obrazy, tamte wracały natrętnie. Dlaczego to tak? Że zwierzę od człowieka ważniejsze i godne większej rozpacz? Dlaczego Hałynka Sawczukowa nie użalała się nad ojcem, tylko nad krową?

Maria Józefczukowa przytuliła córkę do mlecznej piersi, zastanawiając się, jak pomóc temu dziecku ogarnąć świat, który dla niej samej stawał się coraz trudniejszy do zrozumienia. Nie taką

przyszłość widziała dla siebie. Wszystko kręciło się nie w tę stronę, co trzeba. Ani mąż, ani cała reszta... Musnęła ustami włosy córki. Były umyte i rozczesane, ale gdzieś głęboko wciąż czaił się zapach dymu.

– Taki to podły czas, moja córciu – powiedziała. – Bez starego Sawczuka, tak czy siak, życie się potoczy. Ba! Jedna gęba do wyżywienia mniej! Ale bez krowy... To tylko sznur sobie zawiązać, a dzieciaki jak kocięta w worek, do niego kamień i do wody! Taki to podły czas... – powtórzyła, tym razem chyba bardziej do siebie niż do małej Romy. – A teraz pora spać. Jak będziesz grzeczna, to jutro przyjdzie Maksymiukowa. No, zmykaj... – Klepnęła córkę w drobne pośladki. – Do łóżka!

* * *

Zapachu krwi Roma nigdy nie zdoła wyprzeć z pamięci. Będzie się za nią ciągnął przez całe życie. Wtedy, gdy spadając z drzewa, pokaleczy kolana i łokcie, i w prewitorium, gdy co rano krew będzie jej płynąć z nosa i będzie trzeba twardym tamponem czopować obie dziurki. I wtedy, gdy urodzi Elkę i Piotrka. I gdy w niespokojnym akcie twórczym, ciemną nocą, przysypiać będzie nad sztalugami. Uspiona ręka, bezwładnie przejeżdżająca po rozpiętym na blejtramie płótnie, zahaczy o wystające, niedobite gwoździe, które zostawią na skórze czerwone ścieżki. Metaliczny smak i zapach krwi. Niepodobny do żadnego innego, drażniący nozdrza, sączący się do mózgu, zakradający się nagle, niespodziewanie.

* * *

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Spotkanie pierwsze: Zapachy.